ROZMAITOŚCI.

Dnia 26 grudnia, **N^{er} 52.** **roku 1846.**

WYBAWCA.

(Dokończenie.)

Przez kilka dni po 10tym sierpniu, było zupełnie cicho. Jakaś okropna trwoga zdała się ciężyć nad stolicą. Sami mordercy byli poniekąd nią przerażeni. Dopiero gdy usłyszano, iż król i królowa zostali uwięzieni i w „Temple" zamknięci, znowu wszystkie stronnictwa zawrzały.

Pani St. Georges i jéj córka, lubo tylko ze słuchu o tém wszystkiém co zaszło, uwiadomione; nie mogły na same wieści o tylu okrucieństwach, przyjść do siebie z przerażenia i zgrozy. François Hardy prawie codziennie je odwidzał, przestrzegał, i pocieszał. Obie damy witały go zawsze z radością, jako najlepszego przyjaciela, którym on w istocie codziennie więcéj dla nich się stawał. Osobliwie Paulina coraz mocniéj do niego się przywiązywała. Bo jakże wcale różnym od owych wygalowanych, pachnących, zalotnémi słówkami przemawiających paniczów dworskich, wydawał się jéj teraz ten młody mężczyzna o surowém obliczu, prostéj i szczeréj mowie, która tylko wtedy się ożywiała, gdy przyszło mówić o nieszczęsnych wypadkach wczorajszych lub dzisiejszych. Ile razy to się zdarzyło, ile razy Hardy o upadku tronu, o nieszczęściu rodziny królewskiéj mówił, zawsze uczucie najgłębszéj litości, najrzewniejszego żalu, na jego pięknéj, męzkiém licu się wyrażało. Gdy była rzecz o tyranach, którzy już wtedy rozłamki zgruchotanéj korony wydzierać sobie zamierzali; natenczas czoło jego oblewał rumieniec sromu, lecz gdy margrabina jednego razu wynurzyła nadzieję, iż zagraniczne mocarstwa przemocą oręża powagę tronu przywrócą, od dalszéj napaści go ubezpieczą, oko jego zabłysło najżywszym gniewem. Zdaniem jego było, iż skoro cudzoziemski nieprzyjaciel w granice państwa wkroczy, należy przedewstkiem przeciw niemu siły obrócić, należy myślić jedynie o Francyi, o ojczyźnie! Ta mowa była dla Pauliny zupełnie nową. Przyzwyczajona uważać dom królewski i państwo Francyi za jedno i tożsamo, nigdy ona nic podobnego nie słyszała. Obruszyła się nawet na takie słowa, i chciała je sprostować; lecz przekonawszy się, iż to zdanie z głębi duszy młodego obywatela pochodziło, ujrzała się zmuszoną szanować je zarówno, jak poważała szlachetny charakter człowieka, który to zdanie wyraził. A ten szacunek wzmagał się tém silniéj, im bliżéj panna de St. Georges ze swoim młodym przyjacielem się zapoznawała, i czém jaśniéj jéj się objawiało, że najwnętrzniejsze uczucia serca, do niéj go pociągały. Przelękła się z początku, postrzegając, jak ona mu drogą była; lecz różnica stanu, a osobliwie moc duszy i panowanie nad sobą samym, z jakiém Hardy zawsze w przepisanych tą różnicą karbach trzymać się umiał; wkrótce ją uspokoiły; a tak jéj obchodzenie się z nim, stawało się coraz poufniejszém, jéj udział dla jego powabnéj i zajmującéj osobistości, coraz żywszym, szacunek dla jego charakteru, coraz większym.

W kilka dni po owym okropnym 10tym sierpniu, wszedł Hardy z obliczém troskaném do mieszkania margrabiny. Wracał właśnie z radnicy, i tyle nawet czasu nie stracił, żeby znamię swego urzędu, trójkolorową szarfę odpasał. Pierwszém jego słowem była wiadomość: iż księżnę Lamballe i prawie wszystkie damy z orszaku królowéj uwięziono i w „*la force*" zamknięto. Wszystkie jéj rzeczy zostały zabrane, a mianowicie papiéry, dokładnie przetrząśnięte.

„Nie można sobie ukrywać" — dodał Hardy ponuro — »iż nadchodzi czas trwogi, który dla każdego, co się bądź stopniem, bądź majątkiem, a osobliwie, powszechnie wiadomą uległością dla domu królewskiego odznacza; nader niebezpiecznym stać się może. Uniknąc takiego niebezpieczeństwa, jestto nie tylko roztropnością, ale owszem powinnością względem siebie samego i rodziny, jeźli poświęcenie własnéj osoby, zupełnie bezużytecznem się okazuje. I pani jesteś wysokiego stopnia, zostawałaś w blizkich stosunkach z dworem; przychylność twoja dla niego jest wiadomą. Jak łatwo mógł list pani do księżnéj de Lamballe pisany, wpaść w nieprzyjaźne ręce, gdy papiery księżnéj przetrząsano. Sądzę, iż

przezorność wymaga tego, abyś na jakiś czas stolicę opuściła, i gdziekolwiek, nie tyle jak tu na podejrzenie narażona, pod przybraném nazwiskiem zamieszkała Nastręcza się po temu dogodna teraz sposobność. O kilka mil od Paryża, nad brzegami Sekwany, jest ładny dom wiejski na sprzedaż. Jeżli pani radę moję przyjmiesz, kupię go, — mam właśnie wolną sumkę do rozporządzenia — a pani margrabina będziesz mogła z córką pod imieniem moich krewnych, bez najmniejszego podejrzenia, tak długo tam zostawać, aż póki ta burza nie przeminie.»

Margrabina nadmieniła przeciw temu, iż nie ma sobie nic do zarzucenia, że nie może przypuścić, aby była w istotném niebezpieczeństwie, że wreszcie gdyby chciano koniecznie ją uwięzić, tedy możnaby ją tam równie łatwo jak i w Paryżu znaleźć.

Hardy słuchał jéj z widoczną niecierpliwością.

„Ależ pani *jesteś* w istotném niebezpieczeństwie!» zawołał żywo. — »Pochodzisz ze znakomitego rodu, i pisałaś ów nieszczęsny list do księżnéj de Lamballe. Kto wié, czy już w téj chwili gdy to mówimy, rozkazu uwięzienia pani nie wydano! Błagam panią najmocniéj, usłuchaj méj rady, i sprowadź się pod przybraném nazwiskiem do owego dworku. Tam będziesz bezpieczną. Nikt nie domyśli się prawdziwego jéj stanu, gdy panią jako moję krewnę tam wprowadzę. Radziłbym nie brać nikogo, a nawet swojéj pokojowéj z sobą. Powinna ona tu zostać, w mniemaniu, iż pani na dłuższy czas odjeżdżasz. Jakże, przyzwalasz pani?» — zawołał wreszcie z radością, gdy margrabina opierać się przestała. „Dobrze więc, pójdę natychmiast z notaryjuszem do właściciela. Jutro obejmuję posiadłość, a jeszcze przed wieczorem sprowadzisz się pani tam na mieszkanie.»

Po kilku godzinach uwiadomił Hardy margrabinę, iż został właścicielem dworku, i kazał ją prosić, aby nazajutrz wieczorem, wraz z Pauliną, w stosownym do umówionej roli stroju; wyjechała fijakrem przed baryjerę, i tam czekała na niego. Poczyniono wszelkie przygotowania. Pokojowéj powiedziano, iż margrabina w daleką podróż się wybiera, upakowano kilka kufrów, i wyprawiono przez służących Hardy'ego do jego mieszkania, aby ztamtąd późniéj do dworku przesłane być mogły. Nazajutrz po południu było już wszystko do wyjazdu gotowe, już fijakier czekał na dole, a margrabina tylko co wsiadać miała. Wtém wbiega przestraszona pokojowa z oznajmieniem: iż jacyś dwaj panowie o margrabinę pytają Gdy ich wpuszczono, a pani de St. Georges, na zapytanie, nazwisko swoje wymieniła; jeden z nieznajomych dobył papiéru z kieszeni i rzekł:

»W imieniu narodu, i z polecenia wydziału dobra publicznego, biorę panią pod straż. Jesteś oskarżoną o zdradę narodu, jakto z tego rozkazu uwięzienia, sama przekonać się możesz.»

»Wielki Boże!» — Wskrzyknęła margrabina z przerażeniem. „To pomyłka! Jestto niezawodnie pomyłka!»

»Być może» — odrzekł ozięble komisarz policyjny. „Tymczasem muszę panią do więzienia *»la force»* odwieść.»

»Nie bezemnie!» — zawołała żywo Paulina. „Nie opuszczę mojéj matki!»

„Jeżli pani tak się podoba» — odpowiedział tamten z złośliwym uśmiéchem — »nie mam nic przeciw temu. Jest tam dość miejsca, lubo liczne towarzystwo już się zebrało.»

„Mogęż jeszcze kilka słów do przyjaciela napisać?» zapytała margrabina.

»Nie wolno» — odezwał się surowo komisarz. »W więzieniu będziesz pani miała dość wolnego czasu po temu. Teraz proszę natychmiast za mną. — Kolego» — ozwał się daléj, zwrócony do swego towarzysza — »Opieczętujesz zaraz ten pokój.»

Wkrótce ten sam powóz, który margrabinę do wiejskiego domu miał zawieźć, odwiózł ją do więzienia.

W *»la force»* zastała pani St. Georges bardzo liczne towarzystwo. Korytarze, duży salon, a nawet w niektórych godzinach, mały dziedziniec, służyły uwięzionym za miejsce zgromadzenia. Wszystkie te zakąty były zaludnione, gdy margrabina z Pauliną weszły. Znajdowały się tam po większéj części damy z wyższego towarzystwa, lecz i średnie i niższe stany miały także swoje zastępczynie. Widziano też niektóre *»femmes entretenues»*, a nawet i jawne wszetecznice były razem zamknięte.

Należało wnosić, iż tam smutek i posępność wyłącznie panowały. I tak też w istocie miała się rzecz u niektórych; atoli w większéj części i tam francuzka wesołość górę brała. Wszędzie słychać było żywe rozmowy, tu owdzie odzywał się nawet śmiéch głośny, a gdy margrabina z Pauliną po schodach szły na górę, zabrzmiał naprzeciw nim z dużéj marmurowéj wazy, zdobiącéj poręcze schodów, początek ulubionéj podówczas śpiewki:

„Entrez, entrez Princesses!
Voilà mon joli château!»

(„Wejdźcie, wejdźcie księżniczki! Oto mój zamek prześliczny!») Pochodziły te słowa z ust małéj, ładnéj Mezeray, ulubionéj aktorki przy Teatrze Francuzkim, którą za jéj rojalistyczne zdania, w *„la force»* zamknięto, a która sobie w owéj ogromnéj wazie, dostateczną dla swojéj drobnéj, smukłéj osóbki, siedzibę urządziła.

Pierwszą osobą, która panią i pannę de St. Georges powitała, była piękna, szlachetna księżna de Lamballe. Łzy pociekły jéj z oczu.

»Nie mogę ci margrabino wyrazić» — rzekła —

»jaka mię boleść przejęła, widząc cię tu wchodzącą! Jakichże nie czynię sobie wyrzutów, iż nie spaliłam twojego listu, który może stał się przyczyną tego uwięzienia. Wszakże nie chciałam niszczyć tak pięknego świadectwa poświęcenia się pani dla naszéj nieszczęśliwéj rodziny królewskiéj.»

»Pani sama» — odrzekła margrabina z rozczuleniem — »dajesz nam tak piękny przykład najszlachetniejszego poświęcenia się, iżbym się rumienić musiała, gdybym panią chciała obwiniać o ten wypadek, chociażby on w saméj rzeczy miał być powodem uwięzienia mojego.»

Margrabina wyrażała tém najszczérsze uczucia serca swojego. Księżna była istotnie obrazem najtkliwszéj przychylności i wierności. Lubo intrygi dworskie na jakiś czas z serca królowéj, jéj prawdziwéj przyjaciółki, usunąć ją potrafiły; przecież nie poszła ona za przykładem większéj części najmożniejszéj szlachty francuzkiéj, i nie wyniosła się z Francyi, lecz zostawała ciągle w Paryżu. Wiedziała ona o zamierzonéj ucieczce rodziny królewskiéj, i sama nawet przodem do Varennes była wyjechała, a potém wraz z królestwem, do Paryża wróciła. Gdy króla z rodziną osadzono w Temple, księżna udała się dobrowolnie tamże za królową, i dopiéro wtedy nie mogła utulić się w smutku, gdy ją z rodziną królewską rozłączono, i do „*la force*» odesłano.

Do téj cnotliwéj i uwielbianéj damy, przylgnęła najbardziéj margrabina z córką w ciągu swojéj niewoli. Zdała ona im się być wzorem w religii, w zaufaniu w Bogu, i w wierności. Również i księżna przywiązała się mocno do nich, a mianowicie do Pauliny. Zapoznawszy się z nią bliżéj, radziła margrabiance gorliwie, aby się starała jak najprędzéj opuścić więzienie, co łatwo stać się mogło, o ile że Paulina nie była oskarżoną.

»Wierzaj mi»— mówiła księżna usilnie— »wszystkie my tu zgubione, i nie wyjdziemy ztąd żywcem. Nie będą nas sądzić, lecz zamordują nas. Potrzeba im ogromnéj zbrodni, którаby Paryż i całą Francyję zatrwożyła, aby się nikt nie śmiał sprzeciwić popełnieniu jeszcze większego okrucieństwa— zamordowaniu króla i całéj jego rodziny. — Tyś jeszcze młoda, należysz jeszcze światu, w samém życiu, życia szukać powinnaś. Proszę cię, błagam, ratuj się!»

Lecz mimo wszelkie naleganie księżnéj, Paulina zawsze temu najmocniéj się sprzeciwiała. »Zostanę tutaj» — rzekła — »Nie odstąpię przenigdy mojéj matki, chociażby ona sama rozkazać mi to miała.»— Tak upłynął sierpień

Już pod koniec tego miesiąca rozeszła się głucha pogłoska w więzieniu, iż jakiś okropny zamach przeciw więźniom jest w robocie. Nadto i cały Paryż w najsroższém był wzburzeniu. Mnogie zatrważające wieści, jużto o przygotowującéj się kontrrewolucyi, już o wtargnieniu obcych wójsk do Francyi, jużto o wybuchłém w Bretanii powstaniu, podżegały masy ludu do nowych gwałtów. Głoszono, iż arystokraci, równie ci, którzy emigrowali, jakoteż i ci, którzy w więzieniach siedzieli, niezmierne skarby wyłożyli, aby przywieść do skutku plan wymordowania patryjotów, i uwolnienia króla; wypada więc uprzedzić ich w wykonania tego zamiaru.

Chętnie byłaby margrabina i córka jéj napisały kilka słów do swego przyjaciela, aby mu przynajmniéj dać znać gdzie się znajdują, chociaż nie było podobieństwa, aby je mógł oswobodzić. Wszelkie ich prośby w téj mierze pozostały bez skutku; również inne sposoby uwiadomieniu go — zawiodły.

Z rana, 2go września, można było spostrzedz, iż na coś nadzwyczajnego się zanosi. Wszystkie uwięzione osoby otrzymały rozkaz nie wychodzić z cel swoich; zarazem dolatywała z ulic i z dziedzińców głucha wrzawa wielu głosów ludzkich. Po schodach i korytarzach biegano z wielkim tupotem tam i nazad.

Księżna Lamballe i pani do St. Georges z córką, mieszkały w jednym pokoju. Pokojowa księżnéj, otrzymawszy pozwolenie wyjść na korytarz po wodę, wróciła przestraszona i struchlała

»Pani!» wyjęknęła ze drzeniem — »okropny krzyk na dole! Słyszałam straszne pogróżki i jęki! Och, zapewneto więźniów mordują! — I zdało mi się» — dodała po niejakiem wahaniu — »jakby panią po imieniu wołano!»

Księżna przelękła się niewymownie. Padła biédna na łóżko. Potém wzniosła oczy w nieho i rzekła:

»Boże! w twéj ręce życie moje! Jeźli to jest twoją wolą, weź je za życie króla i królowéj, lecz daj, aby ta okropna chwila szybko minęła.»

Wrzawa na dworze wzmagała się coraz głośniéj. Słyszano stąpanie na korytarzu. Wreszcie otworzyły się drzwi, a wszedł z woźnym nadzorca więzienny Richard, lubiony od uwięzionych, że się łagodnie z niemi obchodził.

»Masz się pani przed wydziałem dobra pnblicznego stawić!»— rzekł smutno do księżnéj. »Odbywa się jego posiedzenie na dole. — Pani i panna de St. Georges, także tam iść mają..»

Wszystkie trzy wymienione, wzdrygnęły się, jakby gromem rażone Pokójowa rzuciła się księżnéj do nóg ze łzami.

»Nie płacz moja kochana»— rzekła księżna przytomnie — »Powiedz królowi i królowéj, gdybyś ich mogła obaczyć, iż umieram chętnie, jeźli smierć moja do ich ocalenia przyłożyć się może. Zwłoki moje — jeźli zdołasz, wyrwij mordercom, i każ je w Rambouillet pogrzebać. — Pójdźmyż mój panie» — rzekła spokojnie, zwrócona do woźnego.

*

Ten, chociaż człek groźny, zdawał się sam być zmieszanym. Udał się w milczeniu za księżną; pani i panna de St. Georges postępowały z tyłu Na korytarzu przyłączyło się do nich trzech ludzi z dobytémi pałaszami, z odwinionémi rękawy, w czerwonéj wełnianéj czapce na głowie. Przybywszy na dół, wzięto damy za ręce, i prowadzono je przez niewielki dziedziniec. Przez otwartą przypadkiem bramę, wychodzącą na drugi większy dziedziniec, widać było ziemię krwią zlaną i zgraję ludzi, snujących się z wściekłym krzykiem wokoło garstki prowadzonych na śmierć więźniów. Księżna zachwiała się; już była blizką omdlenia, lecz przewodnicy jéj przytrzymali ją, a tak wszystkie trzy uwięzione weszły do wielkiéj, ludźmi napełnionéj sali. Po jednéj stronie stał stół, wokoło którego siedziało siedmiu lub ośmiu ludzi, wszyscy w czerwonych wełnianych czapkach na głowie. Obok tego, który najwyżéj siedział, stało kilku na straży, z odwiniorémi rękawami, trzymając nagie miecze w skrwawionych ręku.

„Proszę bliżéj. — Nazwisko?" zapytał prezydent księżnę.

„Maryja, Teresa, Ludwika de Carignan, zamężna księżna de Lamballe" — odpowiedziała spokojnie zapytana.

Wszyscy na nią spojrzeli. Miała ona na sobie skromną, białą suknię. Nadzwyczajnie bujne, piękne jasne włosy, pokrywał rany czépeczek. Szlachetne oblicze jéj było blade, lecz zdało się, jakby smutek jeszcze bardziéj nadobne jéj rysy upiększył. Nawet srogie serca morderców, zdały się być na chwilę wzruszonémi, gdyż naraz nastało grobowe milczenie.

„Stopień pani u dworu?" zapytał daléj prezydent.

„Najwyższa nadzorczyni domu królewskiego."

„Wiedziałaś pani co o konspiracyi przeciw wolności ojczyzny?"

„Nie wiedziałam o niczém, oprócz o moich obowiązkach. — Mielibyście mię panowie miéć w istocie za konspiratorkę?" — rzekła księżna uprzejmie.

Ta z całym wdziękiem niewieścim wyrzeczona odpowiedź, podobała się wszystkim; rozległ się cichy szmer w sali.

„Dobrze" — ozwał się prezydent donośnym głosem. „Więc zaprzysięgnij pani wolność i równość, nienawiść królowi, królowéj i monarchii."

Wezwana odrzekła spokojnie i głośno:

„Jestem gotową zaprzysiądz wolność i równość, ale nienawiści domowi królewskiemu zaprzysięgać nie mogę, gdyż nie ma jéj w duszy mojéj."

Te słowa wymówione głosem najszlachetniejszéj, niezachwianéj wierności, były przeciw sobie saméj wydanym wyrokiem śmierci! Wprawdzie ozwało się kilka wpół-cichych głosów: „Łaski! Łaski!" — lecz prezydent zawołał donośnie:

„Możesz pani odejść."

Byłoto zwyczajném słowem, którém wyrok do stracenia, czyli raczéj zamordowania dawano. Kilku w pobliżu stojących poszepnęło księżnéj, aby cofnęła odpowiedź. Ona milczała, i wyszła drżąca z sali. Dwóch oprawców chwyciło ją za ręce, i wywiodło na dziedziniec. Tam się jéj trudny do opisania widok okrucieństwa i zgrozy przedstawił. Płynąca strumieniami krew, ściekała pośród dziedzińca w dużą kałużę Po jednéj stronie budynku, pod murem, piętrzył się stos trupów, skrwawionych, pokaleczonych, z poobcinanémi członkami, które po dziedzińcu porozrzucane leżały....

„Boże! Co za widok! Zginęłam!" — Byłyto ostatnie słowa, jakie z ust księżnéj wyszły.

„Wstąp na ołtarz ojczyzny, i zaprzysięgnij nienawiść monarchii!" ozwał się jeden z przewodników, chcąc ją może ocalić.

Księżna milczała. Drugi chciał jéj pałaszem czépek zedrzéć, i zranił ją ponad okiem. Jéj jasne, długie włosy, roztoczyły się po szyi. W téj chwili uderzył ją ktoś kijem w głowę. Padła o ziemię. Rzucono się na nią, i kilką ostrémi pchnięciami piki, resztę życia jéj odebrano. Głowę, osłoniętą długiemi zwojami złotych włosów, zatknięto na pikę i poniesiono w tryjumfie do Palais-Royal i Tuileryjów.

Ten dziki potwór w ludzkiéj postaci, który to piękne ciało tak okrutnie zniszczył, byłto dobosz, nazwiskiem Charlot. Los zadał mu najsroższą karę, bo skazał go na długie życie. Umarł on dopiero w r. 1843, jako przeszło ośmdziesięcioletni starzec.

Podczas gdy się to działo na dworze, przystąpiono w sali do posłuchania margrabiny.

„Nazwisko?" zapytał znowuż prezydent.

„Maryja, Genowefa de Miomandre, zamężna St. Georges" — zaczęła margrabina jeno co odpowiadać, gdy wtém otworzyły się drzwi, i wpadło sześciu lub ośmiu ludzi w czerwonych czapeczkach. Ku wielkiemu zdziwieniu postrzegła margrabina i jéj córka przyjaciela swego François Hardy na ich czele. Zdawał on się być zgrzanym; pot ciekł muz czoła.

„Cóżto znaczy, obywatelu?" zawołał Hardy żywo, przystępując do prezydenta. „Uwięziłeś dwie patryjotki, panią St. Georges i jéj córkę. Panna St. Georges jest moją narzeczoną, jéj matka, moją świekrą. Zaszła, jak widać, pomyłka w nazwiskach."

„To nie może być, obywatelu Hardy" — odrzekł prezydent. „Oto spis uwięzionych, a tu akt oskarzenia. Hrabina St. Georges..." —

„Otoż cała pomyłka!" przerwał Hardy. „Pani St. Georges nie jest hrabiną, lecz była margrabiną, któryto tytuł jednakże natychmiast porzuciła,

skoro lud francuzki za naszą wielką rewolucyją się oświadczył. Hrabina St. Georges, o któréj mowa w tym akcie, znajduje się oddawna w Koblencyi. Jakoż nie ma ona córki, podczas gdy ta pani St. Georges jest tutaj z swoją córką, a z córką niewymienioną nawet w akcie oskarzenia.»

»Więc niech zaprzysięgną nienawiść królowi i monarchii» — ozwał się jeden z siedzących przy stole.

»Uczyniła ona to już nie raz, jak sam poświadczyć mogę!» — zawołał Hardy, — „Zresztą dała ona, jak sądzę, daleko lepszy dowód swego patryjotyzmu, wydając swoję jedynę córkę, pochodzącą z jednéj z najstarożytniejszych rodzin Francyi, za mnie, prostego obywatela. Zrobila to jedynie dla mojéj przychylności do sprawy rewolucyi, a jeżeliby obywatelu, i o tém wątpliwość tu zachodziła, w takim razie, mam tu kilku znajomych prawych obywateli, którzy mię dokładnie znają; a jeżli tego potrzeba, tedy w oka mgnieniu postawię tu jeszc pięćdziesięciu innych, samych klubistów z sekcyi Kordelierów.»

»Tak, tak!» krzyknęli towarzyszący Hardy'emu ludzie. »Kto o patryjotyzmie obywatela Hardy wątpi, ten niech tylko śmiało wystąpi, a my i stu innych prawych obywateli, na jego własne niebezpieczeństwo, o przeciwieństwie go przekonamy!»

„O, co się tycze obywatelskich cnót prawego Hardy» — odpowiedział prezydent nieco zmieszany— „o tych nikt wcale nie wątpi; te zaś panie —»

„Jako moję narzeczonę i świekrę, zabiorę z sobą» — zakończył Hardy śmiało. „Wreszcie, dziękuje ci, obywatelu, że twoja wyrozumiałość umiała sprostować pomyłkę, która dwie zacne patryjotki w niebezpieczeństwo przywieść mogła.»

Poczém nie mówiąc więcéj ani słowa, obrócił się spieszno do drzącéj i oniemiałéj margrabiny, wziął ją pod ramię, podał drugą rękę Paulinie, i wyszedł z obiema z sali.

Widok rzeźi na dziedzińcu, przejął panią i pannę St. Georges, nową trwogą i zgrozą. Hardy chciał je czémpredzéj ztamtąd wyprowadzić, i pospieszał szybko ku bramie; lecz ta była natłokiem ludzi zawaloną, i można było tylko krok za krokiem postępować. Nareszcie zbliżono się już ku samemu wychodowi; aż oto nagle jakiś okropnego wejrzenia człowiek, drogę im zaszedł, i do margrabiny blizko przystąpił. Twarz jego czerwieniła się trunkiem, i krwią pomordowanych, która jeszcze ciepła po nagiéj szabli w jego ręce ściekała Rozburzone włosy na głowie okrywała czerwona czapka. Byłto Henrion, dawny woźnica margrabiny.

»*Mort de ma vie*!» krzyknął postrzegłszy swoją dawną panię. „Czyżto nie stara St. Georges i jéj córka! — Ha, cieszy mię, że was tu widzę. Przychodzicie w sam czas na widowisko, które tu przedstawiamy.» — Wszystkich oczy zwróciły się na nie. Powstał szmer głośny.

»To arystokratki! Chcą się ztąd wykraść! Nuż je za łeb!» krzyknęło kilku drabów.

»Mylicie się!»— odpowiedział Hardy mocnym, i jak się zdawało, spokojnym głosem. „Prawda, jestto wdowa St. Georges, lecz na dowód jéj patryjotyzmu, dość wam powiedzieć, że jedynie z gorliwości dla naszéj wielkiéj rewolucyi, wyrzekła się swego stopnia i tytułu, i swoję jedyną córkę za mnie, człowieka z gminu, spekulanta zbożowego, wydała. Uwięziono ją przez pomyłkę, gdyż pokazało się, iż to inną St Georges sądzić miano; dla tego została uwolnioną.»

Henrion zdumiał się, słysząc, iż Hardy pannę St. Georges swą narzeczoną nazwał.

„To wszystko dobrze, obywatelu!» — rzekł wreszcie — „ale jeszcze pytanie, czy też to prawda?»

»Jużci, że prawda, obywatelu Henrion» — odpowiedział Hardy, silnie w oczy mu patrząc. „I powinieneś to lepiéj niźli kto inny wiedzieć, gdyż znasz sposób myślenia pani St. Georges. Przecież musiałeś słyszeć na przykład, iż ona jednego razu dlatego tylko woźnicę swego odprawiła, że tak bardzo arystokratyczne miał zdania, iż nie chciał wcale pozwolić, aby ktoś niższego stopnia, powóz jego wyprzedał. — Czy nie pamiątasz tego?»

„A tak, słyszałem, że coś podobnego się stało» — odrzekł Henrion, spuściwszy w dół oczy.

»A, widzisz, obywatelu!» — ozwał się Hardy ozięble. — „Wiedziałem ja, że sobie to przypomnisz. Zresztą, jak dobra jest pani St. Georges, możesz ztąd wnosić, iż nazwisko tego człowieka, nigdy odtąd na ustach jéj nie postało. Bo gdyby to uczyniła, i dokładnie to opowiedziała, toby ten człowiek na pierwszym lepszym palu od latarni niezawodnie wisiał, a może nawet moi właśni chłopcy z sekcyi Kordelierów, zrobiliby sobie tę przyjemność, zarzucić mu stryczek na szyję.»

I ani patrząc więcéj na Henriona, który jakby odnrzony, spuścił oczy w milczeniu, wyprowadził Hardy obie damy szybko za bramę

„Pójdźmy, pójdźmy!» szepnął Hardy swoim towarzyszkom, wydobywszy się z tłumu. „Nie uspokoję się pierwéj, aż będę wiedział, iż panie za rogatką Paryża jesteście!» — Stojący w pobliżu fijakier zabrał ich wszystko trojgo, a za kwadrans stanęli w domu Hardy'ego.

»Teraz uchodźcie czémprędzéj z Paryża!» rzekł Hardy zostawszy sam na sam z damami. »Przebierzcie się panie jaknajspieszniéj i wyjeżdżajcie z miasta Marat jest waszym nieprzyjacielem, a władza jego nieograniczona! Jednakże w moim dworku wiejskim, będziecie bezpieczne. Bawiąc tam pod nazwiskiem moich krewnych, ujdziecie wszelkiego podejrzenia. — Jeszczeby lepiéj było» — dodał, a lekki

rumieniec okrasił jego twarz piękną — „gdybyśmy na jakiś czas zostali przy tym samym wybiegu, do jakiego mię dziś okoliczności zmusiły. Przezto wydałby się pobyt pań u mnie, tém naturalniejszym.”

„Wszystko, wszystko, czego żądasz, uczynimy, szlachetny przyjacielu! Tylko precz z téj morderczéj stolicy!” zawołała margrabina, któréj widziane w „*la force*” sceny zgrozy, ciągle jeszcze przed oczyma stały.

W pół godziny później wyjechali wszystko trojgo za miasto. Po niedługiéj podróży przyjął ich ładny dworek wiejski, leżący śród niewielkiego parku w dolinie Montmorency. Paulina wielce sobie w nim podobała, a to uszczęśliwiało Hardy'ego. Zacny ten człowiek postarał się już był o wszystko, co tylko pobyt na wsi uprzyjemnić może. Książki, muzykalija, i co tylko panią de St. Georges i jéj córkę zabawić mogło, już tam na nie czekało. W kilku dniach przywykły matka i córka tak łatwo do téj miłéj ustroni, jakby tam życie były spędziły. Było tam tak cicho, tak spokojnie, podczas gdy stolica wrzała mordami i pożogą, o których przyjaciołki młodego »obywatela” tylko z gazet lub z jego własnych opowiadań się dowiadywały. Często też odwidzał szlachetny Hardy swoich gości, a one każdego jego przybycia, jak najmilszego zdarzenie wyglądały. Wszystko, co im niegdyś drogiém i blizkiém było w życiu, uciekło za Ren, ukryło się wgłąb prowincyj, albo padło na rusztowaniu. — A jak troskliwym, uprzedzającym i skromnym był ich obrońca! Podczas gdy one wszystko mu zawdzięczały, zdało się, jakby on im za łaskę pobytu w swoim domu, był wdzięcznym i obowiązanym. W obecności sług, jakoteż niektórych mieszkańców z sąsiedztwa, którzy niekiedy do jego dworku nadjeżdżali, obchodził on się ze swymi gośćmi jako ich krewny, jako narzeczony Pauliny. Jednakże będąc sam na sam, wystrzegał się wszelkiéj poufałości, która natenczas, przyjaznemu lecz oraz pełnemu uszanowania znalezieniu się ustępowała.

Tak upływały tygodnie i miesiące. Tymczasem król, królowa, siostra królewska i tysiące innych niewinnych i szlachetnych ofiar podały głowy pod miecz katowski, aż wreszcie i sami ich katowie słusznéj karze niebios ulegli. Marat wyzionął ducha pod sztyletem Karoliny Korday, Robespierre i Terroryści padli dnia 9go Termidora. Francyja odetchnęła swobodniéj, a margrabina i jéj córka mogłyby już były zapewne bez niebezpieczeństwa do Paryża powrócić, gdyby nie uporczywa matki choroba, która zamieniwszy się wkrótce w suchoty, na łożu boleści ją złożyła. Przywołani lekarze uznali wyleczenie za niepodobieństwo. Pani St. Georges sama to już od dawna przeczuwała. Własne cierpienia i porażający widok tylu nieszczęść, wyniszczyły jéj i tak słabe zdrowie. I w tym razie okazał się Hardy jak tylko można najtroskliwszym i najszlachetniejszym. Bywał on prawie codziennie w swoim wiejskim dworku, chociaż jego rozległe spekulacyje, wielce mu to utrudniały. Dopilnowywał osobiście każdego sprawunku, dotyczącego pielęgnowania choréj, jakoteż najdrobniejsze potrzeby jéj załatwiał. Zarazem dokładał najusilniejszych starań, aby panią St. Georges odwieść od wszelkich trosk o przyszłość. Zapisano ją na liście wychodźców, i zabrano jéj dobra. Hardy usiłował gorliwie uspokoić ją i w téj mierze. Powiadał jéj, że lubo na teraz niepodobna żadnego kroku o zwrócenie majątku czynić, o ile że owo nieszczęsne pismo do księżnéj de Lamballe jest jeszcze w świeżéj pamięci, i w ręku zwierzchności zostaje, przecież przyjdzie zapewne czas, gdzie się wszystko załatwi, i poniesiona strata odzyska; aż potąd musi on jednak nalegać na to, aby się margrabina u niego jak w swoim własnym domu uważała.

Jeźli mu się w ten sposób powiodło wejść w coraz większe względy u margrabiny, i przyjaźń jéj pozyskać, tedy w sercu Pauliny nieznacznie wcale inne uczucia się ozwały. W tym poważnym a przecież tak tkliwym i czułym, w tym skromnym, praprawie nieśmiałym, a przecież gdzie tego potrzeba, tak stanowczo i odważnie występującym mężczyźnie, ujrzała Paulina zupełnie inną istotę, niż się jéj w którymkolwiek z owych młodych, zalotnych, szumnych, przechwalających się, a przecież teraz tak ucichłych paniczach dworskich widzieć podarzyło. Również i jego piękna powierchowność, jego uprzejma, od wszelkiego natrętctwa daleka osobistość, wiele się także przyczyniły, a tak, nim jeszcze Paulina sama to sobie wyznała, przywiązało się jéj młode serce coraz silniejszą namiętnością do gminnego »obywatela.” Cicho i bez skargi, lecz z posępném wejrzeniem siedziała ona u łoża choréj matki, śledząc każdy jéj ruch, najmniejsze skinienie, lecz gdy nadchodziła godzina, o któréj Hardy zwykle nadjeżdżał, stawała się Paulina widocznie weselszą, żywszą, a usłyszawszy wreszcie tętent kopyt na podwórzu, wybiegała z radością, aby powitać przyjaciela. Ten stan serca Pauliny nie mógł się długo ukryć przed matką. Postanowiła ona mówić o tém z Pauliną, i przestrzedz ją. Już pierwsze słowa téj rozmowy przekonały ją o rzeczywistości jéj domysłów. Z płaczem rzuciła się Paulina matce na piersi, i wyznała uczucia, które całą jéj duszę zajęły. Na to wszczęła się ciężka walka w sercu pani St Georges. Pierwszą jéj myślą było — oddalić się. Wszakże stan jéj zdrowia był tego rodzaju, iż myśl ta przy bliższem zastanowieniu, niepodobieństwem się okazała; chora mogła jeszcze ledwie na kilka minut z łóżka wstawać. Wysłać Paulinę? Lecz dokąd? Wszyscy jéj krewni i przy-

jaciele, byli w Anglii lub w Niemczech. Jéj zupełne odosobnienie, brak wszelkich środków, niweczyły każdy zamiar. Wreszcie zaczęła margrabina bezprzesądniéj tę rzecz rozważać. Azaliż ta okropna rewolucyja nie wyrównała może na zawsze wszelką różnicę stanów? Mogłaż margrabina w razie śmierci — a ta chwila rozstania, coraz bliżéj groziła — powierzyć swoję jedynę córkę wierniejszym rękom, niż rękom tego przyjaciela, któremu matka i córka wszystko, a nawet i życie zawdzięczały? Cóż się miało stać z Pauliną, ubogą, samą, osieroconą? Nie byłże wreszcie Hardy człowiekiem, któregoby ona z tysiąca za zięcia sobie była wybrała, gdyby on był jéj równym? — Długo tak i uporczywie pasowała się z sobą ta dobra i roztropna lecz w duchu i w przesądach swojego czasu i stanu wychowana, a przeciągiem długiego życia, w tych zdaniach wkorzeniona kobieta; aż wreszcie nadeszła godzina ostatecznego rozstania.

Pewnego wieczora, w godzinę przed zachodem słońca, pytała chora niespokojniéj niż zwykle: czy Hardy jeszcze nie przybył. Zwykł on był zawsze o tym czasie nadjeżdżać. Kilkokrotnie powtórzyła margrabina to pytanie a ciche »Bogu dzięki!« prześliznęło się przez jéj usta, gdy jéj wreszcie potwierdzającą odpawiedź dano. W téj chwili wszedł sam przyjaciel do pokoju. Paulina oddaliła się jak zazwyczaj, aby kazać podwieczorek zastawić. Pani St. Georges skinęła ręką na Hardy'ego, aby usiadł przy jéj łożu.

»Mój przyjacielu« — rzekła chora, ledwie dosłyszalnym głosem. »Widzimy się dziś po raz ostatni. Czuję, iż godzina moja się zbliża. Czekałam z upragnieniem twego przybycia. Chcę z tobą o przyszłości Pauliny mówić.«

»Już ja o tém myślałem« — odpowiedział Hardy z boleścią — »i oczekuję rozkazów pani w téj mierze. Jeźli to panią poniekąd uspokoić może, tedy przyrzekam pani starać się najusilniéj, aby pannę St. Georges bądź do Anglii, bądź do Niemiec w grono i pod opiekę jéj krewnych zawieść; jeżlibyś zaś pani przystać na to raczyła, tedy mogłaby córka pani znaleźć pewne i przyzwoite umieszczenie w Paryżu w domu nie bardzo wprawdzie majętnéj, lecz zacnéj, i zapewne pani też znanéj damy, to jest wdowy po zmarłym rajcy parlamentowym de Chartrand. W takim razie pozwoliłabyś mi pani starać się o środki utrzymania, co w czasie odzyskania dziedzicznego majątku panny St. Georges, łatwoby zaspokoić się mogło.«

»Oświadczenia pańskie« — rzekła margrabina, poglądając nań z rozrzewnionem, aczkolwiek już wpół przygasłém okiem — »są takie, jakich po tak szlachetnym przyjacielu spodziewać się mogłam; jednakże radabym powiększyć jeszcze ten ciężar, jaki na pana wkładam, radabym, aby Paulina pod twoją osobistą opieką zostawała.«

»O, mój Boże! pani margrabino, co słyszę! Nie wiém czy panią dobrze zrozumiałem!« — zawołał Hardy w najżywszém wzruszeniu, obejmując wychudłe ręce choréj.

»Jestto uroczysta chwila, mój przyjacielu!« — rzekła pani St. Georges drżącym głosem. »Nie możesz pan sobie tego źle tłumaczyć, jeźli umierająca matka otwarcie, chociaż w niezupełnie przyjęty w świecie sposób, z panem tu mówi. Pytam się pana więc: Jakie są jego uczucia dla mojéj córki?«

»Te same, jakie były wówczas, gdym jeszcze słowa do niéj nie przemówił, a które śród radości i męczarń aż po tę chwilę w sercu mojem ukrywałem — uczucia najszczerszéj, najgorętszéj miłości!« — odpowiedział Hardy, a lica jego płonęły, oko pałało.

Wtém weszła Paulina. Widok rozrzewnienia matki i natchnieniem jaśniejącego oblicza przyjaciela, kazał się jéj domyślać, iż tu ważna dla niej rozmowa się toczyła. Na skinienie choréj, zbliżyła się Paulina ze drżeniem ku matce. Ta zaś wzięła oboje młodych ludzi za ręce, i złożyła razem ich dłonie. »Bądźcie szczęśliwi!« szepnęła umierająca; usta jéj poruszyły się po raz ostatni jak do modlitwy, zwiesiła głowę na poduszkę, odetchnęła raz jeszcze ciężko, i — żyć przestała.

Najróżnorodniejsze czucia ogarnęły serca kochanków. Dla Pauliny byłato najboleśniejsza a przecież oraz najszczęśliwsza chwila żywota. To dręczące uczucie bolu i szczęścia ulżyło sobie w końcu strumieniem łez gorących. Niemém uściśnieniem rąk zaprzysięgli sobie oboje wierną miłość do zgonu.

Przez pół roku nosiła Paulina żałobę po matce. Prawie codziennie odwidzał Hardy swą narzeczonę Po całych godzinach stała ona pod wieczorną porę na balkonie u dworku, kiedy kochanek miał nadjeżdżać. Jeźli natenczas pojedyńczy cwałem pędzący jeździec, zdaleka na drodze się okazał, zbiegała Paulina chyżo po schodach na dziedziniec i ku bramie parkowéj, gdzie się oboje serdecznie powitali. Godziny pobytu kochanka we dworku upływały jak tyleż minut. Dopiero gdy słońce zapadało, wsiadał Hardy na konia, Paulina odprowadzała go aż do bramy, a potém spieszyła znowuż na balkon, aby ztamtąd oddalonemu już przyjacielowi chustką wiać pożegnanie.

Po upływie półrocznéj żałoby, kapłańskie błogosławieństwo na wieki kochanków połączyło.

W dziesięć lat późniéj, w czasie świetnego zgromadzenia u dworu w Tuileryjach, liczne dam grono zebrało się na pokojach cesarskich. Cesarz rozmawiał z niektóremi, idąc od jednéj do drugiéj, przyczém twarz jego już to uprzejmy już surowy wyraz przybierała. Nagle uwisło jego oko na jednéj z dam, bladéj lecz pięknéj, pojedyńczo lecz kosztownie ubranéj. Napoleon postąpił szybko ku niéj.

»Madame Hardy, z domu St. Georges?« zapytał, wpatrując się w nią bystro, lecz bez niechęci. »Miło mi widzieć tu panią, chociaż jéj małżonek rzadko tu widzieć się daje. Nie lubi mnie. Jestto republikanin. Wiem o tém. Ale to nic nie szkodzi. Kocha on przeto Francyję, i dobrze się krajowi zasłużył. Rzadko się zdarza, aby kto swój wielki majątek tak na korzyść innych obracał. Poważam go, i dla tego mianowałem go właśnie baronem. Powiedz mu pani to.«

Lecz Hardy nie dał się łaskami Napoleona ułudzić, i szczęśliwy w swojém domowém pożyciu, jakoteż w swoim handlu, w którym ogromny majątek zyskał, żadnych zaszczytów nie pragnął.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 31szy i zawiera: 1) Ciecz do nakrapiania zboża przed siejbą; 1) Zjawiska przy karmieniu żwierząt dostrzegane, wyjaśnione ze strony naukowéj. (Przez D. Brand.) 3) Lekarstwo dla bydła gryzącego drzewa i inne rzeczy; 4) Kołowacizna owiec uleczoną być może; 5) Wpływ przemysłu na rolnictwo; 6) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Świat pod wodą. Dno morza jest jakby cały osobny świat pod wodą. Podajemy tu wzmiankę o jednem tylko licu tego życia w głębi, to jest o roślinności morskiéj. Morze, podobnież jak ląd stały, ma swoje łąki kwieciste i bory nieprzebyte. Po stokach jego wzgórzów, jako też w łonie jego padołów, rośnie nieskończona ilość krzewów, z których każdy tylko pewnéj okolicy jest właściwym. Po wierzchu naszéj ziemi, im wyżéj w górę, tém jałowsza roślinność, aż wreszcie na najwyższych szczytach, wszelkie życie w śniegu i lodach zamiera; w głębi morza dzieje się rzecz przeciwnie: tam, im głębiéj w dół, tém większa obfitość roślin. Najbujniéj i najrozmaiciéj zaś rozmaga się roślinność podmorska w morzu śródziemném i oceanie południowym. Mchy przedziwnéj delikatności i najpiękniejszych kolorów, rozpościerają się tam jak różnobarwne kobierce, których trudny do opisania blask najosobliwszych wzorów i odcieni, przy spokojném morzu w głębokości jakich 100 stóp, widzieć się daje. Na pochyłości podmorskich pagórków krzewi się jedwabista *anserina*, któréj kosmata łodyga, jakby zwojami jedwabiu jest opleciona; małe purpurowe *algi* rosną w takiéj ilości, iż woda od nich pozoru krwawéj barwy nabiera; w morzu pod równikiem kwitną florideje, z żółtemi i czerwonémi centkami, wystrzelające z siebie małe kulki, które w dość znacznéj odległości z łoskotem pękają. Najdziwniejszą jednak rośliną podmorska jest grzyb olbrzymi, będący królem morza, podobnie jak cedr jest królem gór naszych. Wyrasta on z głębi trzechset stóp aż ponad powierzchnię morza, a jego olbrzymie ramiona, istne wyspy pływające, na których psy morskie i ptaki wodne śpią w słońcu; bywają nieraz grożnym dla żeglarzów szkopułem. Okręty, które w okolicach równika przy spokojném morzu i słabym wietrze, w pośrodek takiego roślinnego boru się dostaną; muszą niewątpliwie, jak w nierozwikłaną sieć uplątane, zatrzymać się na miejscu, i częstokroć kilka miesięcy czekać, aż wreszcie silniejszy wiatr z tych pęt je oswobodzi.

Poezyja u dzikich ludów. Pojęcia dzikich mieszkańców Australii o nadzmysłowéj, boskiéj potędze, są nadmiar ograniczone, i po większéj części tylko skutkiem przestrachu i bojaźni. A przecież jak piękną i poetyczną jest myśl, na któréj, panujący u nich zwyczaj oddawania ostatniéj przysługi ciałom zmarłych osób, polega. Skoro ktoś z plemienia umrze, kładą go z bronią, z przyrządzeniém myśliwskiém, i wszystkiém, co było jego własnością — krótko przed zachodem słońca, na stos pogrzebny. W około stosu bywa zakreślony okręg, wewnątrz którego nikt prócz kapłana wejść nie może. Gdy słońce na krawędź widokręgu się przechyli, zapala kapłan płonącą pochodnią stos drzewny, i czeka aż póki płomienie nie ugasną. Natenczas przy zapadłym już zmierzchu, wznosi kapłan oczy ku niebu, i wskazując ręką na pierwszą dojrzaną w mroku gwiazdę, odzywa się uroczystym głosem ku zgromadzeniu: »Patrzcie, oto kroczy tam z laską ognistą!«

Jeńcy wojenni. Nikt zapewne nie doznawał sroższego losu nad jeńców wojennych w dawnych czasach. Scytowie poświęcali Bogom każdego setnego, Sasowie każdego dziesiątego jeńca; u Scytów zaś reszcie jeńców ucinano nosy. Pojmani w bitwie pod Egos-Potames obywatele ateńscy, w liczbie 3000 zostali wszyscy straceni. Po zdobyciu Teb zamieniono wszystkich mieszkańców bez wyjątku w niewolników, a znaczną część zabito. Po zajęciu Tyru, kazał Aleksander Wielki 2000 jeńców ukrzyżować, a ojciec jego Filip, po zwycięztwie nad Onomarchem 5000 w morze wrzucić. Bazyleus II kazał 14.850 Bulgarom oczy wyłupić, co także Grecy z 800 Rusinami po bitwie pod Warną uczynili. Przeciwnie Światosław kijowski kazał 20.000 pojmanych Bulgarów wbić na pal. Sławny bohater Ryszard Lwie-serce, kazał po zdobyciu Ptolomaidy 2500 jeńców w pień wyciąć, Henryk V, król angielski, po zwycięztwie pod Azincourt, wszystkich Francuzów pościnać. W ciągu całego 14go stólecia, Francuzi i Burgundczykowie wcale sobie pardonu nie dawali. W r. 1467, podczas wojny domowéj w Czechach, wyrzezywano jeńcom krzyże na czole; wrocławski zaś dowódzca Skop, kazał pojmanym Czechom, kielichy na skroni wypalać.

Świéce pachnące. Fabrykant świec Fleuri w Marsylii, sporządza nowy gatunek swiéc, które osobliwie na Wschód w znacznéj ilości wywożone bywają. Ronią one paląc się, woń bardzo przyjemną, i mogą przeto w wielu okolicznościach miejsce perfum zastąpić. Tenże sam fabrykant wyrabia także chemiczne różnobarwne świéce, które przy iluminayjach, uroczystościach i t. p. wielce się do ozdoby przyczyniają, oile że bardzo piękny widok sprawiają, i dla swojéj nowości, są nadzwyczajnie chwalone.

Pożywność prawnictwa. Podług statystycznych obliczeń kilku pism francuzkich jest we Francyi około 50.000 ludzi, którzy »z prawa« żyją — jakoto: 6670 adwokatów, 3569 notaryjuszów, 10.300 pełnomocników, 8206 woźnych i przeszło 20.000 urzędników sądowych. — Czy też nié ma pomiędzy niémi i takich, kórzy z przekręcania prawa albo bezprawia (*nefas*) korzyści odnoszą?

Malownictwo ogrodnicze. Pewien właściciel dóbr w Normandyi, zamierzył wprowadzić na nowo dawny francuzki sposób zakładania ogrodów w używanie. Te usiłowania jego nie tyczą się jednakże saméj architektoniki, lecz mają raczéj wzgląd na stosowne ugrupowanie kwiatów i roślin; zkąd niejako nowy rodzaj malarstwa się rozwija. Drzewa i krzewy powojowe przybierają pod kierunkiem tegoż artysty, najprzód postać ścian, portalów, chat, wież, świątyń. Następnie otrzymuje ta żywa, zielona architektura, przez mozaikowe upstrzenie jéj kwiatami, pozór różnobarwnych kobierców, i podobnie jak dekoracyje ogniów sztucznych, przedstawia przy swojéj symetrycznéj grze kolorów, prawdziwie czarowny widok. W ten sposób służy tu cała zielona roślinność za tło malarskie, na którém bogini Flora ze swojéj nieprzebranie obfitéj palety, estetycznym zmysłem, wszelkie barwy i odcienia rozmieszcza.

Grzeczny zwyczaj. Skoro do wyspy Jawa parostatek zawinie, zgromadzają się kawalerowie tameczni kopami na przywitanie wysiadających zeń panien, i pytają każdę: »Czy masz pani już narzeczonego? — Czy nie chcesz pani mieć męża?«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.